

I. PIERWSZY MIESIĄC (Morze Śródziemne)

(trasa: Monfalcone- Portoroż- Ancona- Porto di Vasto- Bari- Marina di Leuca- Crotone- Roccella Ionica- Palermo- St.Vito- Calasetta- Cala Nova- Santa Eulalia- Almerimar- Gibraltar)

24 września

Wszystko gotowe. Dziś wypłynęliśmy z Monfalcone (tu łódki przyjechały ze Szczecina i zostały zwodowane). Płyniemy prosto do Portoroż. Jeszcze z Andrzejem i Jarkiem na pokładach. Ale jutro... nie! wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć!

25 września

Zaczęło się! Pożegnane, wyściskane, zaopatrzone w mnóstwo dobrych rad i ciepłych słów na koniec, oddajemy cumy w Portoroż i wyruszamy. W rejs dookoła świata!!! Rejs na dwóch łódkach typu mantra 28. Na każdej łódce dwie dziewczyny. Zapowiada się sympatycznie. Chociaż rodzi się też mnóstwo pytań: jak długo wytrzymamy ze sobą? jak długo ten rejs, ta wielka przygoda i marzenie mojego życia potrważą? Zdaję sobie sprawę, że sporo muszę się jeszcze nauczyć. Ale jestem uparta ... jak diabli... więc musi się udać!

26 września

Płyniemy wokół Włoch. Dla mnie to radość ogromna, również i z tego powodu, że mogę (a niekiedy wręcz muszę) odświeżyć swoją znajomość tak dawno już nie używanego języka włoskiego (tubylcy, po angielsku, baaaaardzo niechętnie). Nie zawsze jest to proste. Nie znam zwrotów i wyrażeń czysto technicznych, ale - na szczęście - spakowałam słownik. Jak do tej pory – zawsze udaje się (jakoś) dogadać. A że czasem rozmowa potrwa nieco dłużej... Któż by tym się przejmował!

29 września

Cała noc na wodzie. Patrzą to na gwiazdy, to na pojawiające się od czasu do czasu statki. Światła statków jeszcze mnie zwodzą: pierwsze na ich widok wrażenie to wciąż jeszcze odczucie, że wszystkie statki płyną dokładnie w naszą stronę!!! Ale powolutku uczę się je

rozdzielić. Jacht prowadzi autopilot (jedyne przedstawicielstwo płci brzydkiej na naszym pokładzie, może dlatego nazwany tak pieszczotliwie: albertik...) Oj, przydatny jest on, przydatny. dzielnie trzyma kurs i nic nie marudzi (!)

Płyniemy już kilka dni. Raz dmucha mniej, raz bardziej, a mnie... jeszcze nie dopadła choroba... Ciekawe, kiedy ta sielanka się skończy...

30 września

Czy ja wspominałam, że jeszcze nie choruję? No to uprzejmie donoszę, że sielanka właśnie się skończyła. całą noc wiało pomiędzy 4-6B. Idziemy to na żaglach, to na silniku. Prędkość max 8,6kn. Hmm, niezłego kopa ma ta nasza mantra. Z każdym dniem coraz lepiej orientuję się w linach, zrzucaniu i stawianiu żagli, ale martwi mnie, że do mocowania się z żaglami mam jeszcze za mało siły (muszę się wyrobić!)

Brrrr... wybijało nas okropnie. I na dodatek siadła cała elektronika. Łącznie z gps i albertikiem.. Na szczęście mantra „Asia” przysłała z pomocą. Płyniemy za nią. A tu dmucha coraz mocniej. 7-8B. Aua! Co za fale! Jak my wejdziemy do portu?... Ale udało się. Przy cumowaniu pomogli nam bardzo sympatyczni ludzie (jeden z nich – jak się potem okazało bosman tegoż portu – był nie tylko sympatyczny; on był po prostu.... ech... co tu gadać: taaakie ciacho!)

Wreszcie noc spędzona w porcie. Odreagowanie pierwszych ciężkich warunków. Noc może niekoniecznie spokojna, bo bujało tak, że chodził cały pomost, razem z przycumowanymi do niego łódkami. Ale w dobrych humorach zjadliśmy kolację (po raz pierwszy - wszystkie cztery), pograłyśmy na gitarkach, pośpiewałyśmy (nawet nieźle nam wyszło)...

Zastanawiam się, ile razy może być gorzej? Ile razy w ciągu tego rejsu zadam sobie pytanie: „co ja tutaj robię?”... W takich chwilach pomagają ciepłe sms-y od przyjaciół. Stawiają na nogi, dodają otuchy i pewności: że jednak warto...

1 października

Wiatr jest wciąż dość silny: 8-9B. Zapada decyzja o pozostaniu w porcie jeszcze jeden dzień. Przechadzając się po Bari i szukając jakiegoś czynnego sklepu (jest niedziela, więc może być ciężko) spoglądam z przerażeniem na fale, które rozbijają się o skały, i z ogromną siłą wpadają na drogę.. I my mamy płynąć? Boję się jak cholera. Niech ten wiatr osłabnie! Proszę!

2 październik

Wiatr osłabł! Płyniemy. Wyruszamy prosto do Marina di Leuca. Tej nocy to ja zakładam refy na grocie (Ania chwali moją robotę, robię postępy!) I marzę tylko o jednym: by dziś nie dowiało nam tak jak ostatnio.....

3 październik

Całą noc wiało 5-6B. Gnałyśmy do przodu jakieś 6-7kn. I to na dwóch refach na grocie! Fale spore i spory przechył na burtę. Ale prawdziwa jazda zaczęła się nad ranem, kiedy wiatr wzrósł do 7B. I do tego wiał w mordę. Jacht wpływał na falę, zatrzymywał się na niej na chwilę, a potem spadał, zupełnie jak narciarz. Po takim bujaniu nie czułam się dobrze i ...sporo czasu (stanowczo za dużo!) spędziłam w koi. A ta choroba... co za okropność!!! Już wolę na relingach wisieć i morze z bliska oglądać, aniżeli tak się męczyć, jak dziś...

6 październik

Płyniemy przez Cieśninę Mesyńską. Troszeczkę kołysz, ale nie jest tak źle. Zrobiłam nawet obiad: 78687 wersję mielonki. Tym razem w piwie. Co prawda brakło trochę cebuli, ale ogólnie - było zjadliwe. Na jutro muszę jednak wykombinować wersję bardziej w smaku wyrafinowaną.

Pada. A właściwie leje. Bo już po chwili nie widzę nic, absolutnie nic - przez mokre okulary (a zdejmę je - to widzę jeszcze mniej). Do tego mgła i przemykające cichaczem ogromne statki... W końcu przestało padać. I Cieśnina Mesyńska też już za nami...

Wieczorem leżałyśmy sobie na burtach, słuchałyśmy szantów i patrzyłyśmy w gwiazdziste niebo. Coś pięknego!

7 październik

Jest 7.30 rano (rano? jakie rano? toż to środek nocy!) Płyniemy w kierunku Palermo. Na niebie - słońeczko, na morzu - szklanka, więc ja - chlup do wody. Strój zostawiam oczywiście na jachcie (pływanie w kobiecym wyłącznie gronie ma swoje zalety). Przy okazji dostaję szczotkę i bojowe zadanie: wyczyścić kadłub, bo niby co pływać mam tak bezzajęciowo. Poezja! Ogólnie - żeglarstwo jest super!. Tylko... ta sól, którą trzeba potem z siebie splukać...

Po kąpieli (w Morzu Tyrreńskim!) poczułam okropny głód. Wskoczyłam więc do kambuza. Gotowanie na jachcie - to sztuka nie lada. Wymaga nie tylko sprawności fizycznej (zwłaszcza gdy kiwa), ale i wiedzy - dość specyficznej (jej brak - zemścić potrafi się nader

okrutnie). Ja na przykład właśnie niedawno dowiedziałam się, że do gotowania można używać wody zaburtowej, i wtedy sól jest zbędna. No to pełna ochoty zabrałam się za gotowanie. Wlałam do garnka 3 szklanki rzeczonyj wody. Na makaron. Do tego sos pieczarkowo-cebulowy. Bez mielonki. I nie posoliłam! A efekt? O zgrozo! Ku mojemu ogromnemu zaskoczeniu - kompletnie niezjadliwy! Czegoś tak słonego w życiu nie zrobiłam! Ale – jak powiadają - zawsze jest kiedyś ten pierwszy raz. Teraz już wiem, że zaburtowej wody daje się 1/3, a nie całość. No co. Na błędach człowiek się uczy.

Przed samym Palermo zmieniła się nam pogoda. Nie dość, że dorwał nas deszcz, to jeszcze mało co było widać. W pewnej chwili otrzymałyśmy info od „Asi”, że im silnik się przegrzał, i żeby na hol je wziąć. Co miałyśmy robić. Natychmiast w tył zwrot i do Palermo podchodziłyśmy razem, nierozłączne. Hol oddałyśmy dziewczynom dopiero za główkami portu (gdzie silnik „Asi” na szczęście odpalił). Aha. Podczas cumowania załapałam działanie mooringów. Nareszcie! Wygląda na to, że naprawdę nie ma rzeczy niemożliwych (Ania śmiała się ze mnie, i potem cały wieczór wznosiłyśmy toast „za mooringi”).

Znów na lądzie!!!. Podłączamy się do prądu, znajdujemy jakiś prysznic i zmykamy na pizzę. Sympatyczne wyglądająca knajpa jest wypełniona po brzegi, a my jesteśmy taaakie głodne. Zamawiamy pizzę na wynos. Kucharz mówi, że za 5 minut. Wychodzimy więc na chwilę. Po 10 minutach – kucharz to samo: za 5 minut. I tak czekałyśmy pół godziny. W końcu dostałyśmy dwie ogromniaste pizze, z którymi wróciłyśmy na jachty. Jak przyjechali Andrzej z Ewą, to załapali się na jeszcze ciepłe.

A tak w ogóle, to przyplłynęłyśmy do Palermo dzień wcześniej. Andrzej śmiał się mówiąc, że miał nadzieję odpocząć sobie od nas ten jeden dzień. A tu lipa!

9 październik

Po uiszczeniu wszystkich opłat (ale z nas zdarli! masakra!), po wypełnieniu mnóstwa papierków (nie dość że w kilku egzemplarzach, to jeszcze z bardzo oryginalnymi pytaniami: skąd? jak? dokąd? po co? dlaczego?), po prześwietleniu wszystkich dokumentów jachtów i naszych paszportów...w końcu oddajemy cumy i wypływamy z Palermo. Prosto do St. Vito....

Widok światła brzegowych zapamiętam do końca życia!!!

10 październik

Trochę za mocno wieje, więc siedzimy w St. Vito na Sycylii. Ania z Gosią kombinują uparcie, w jaki sposób podłączyć gps i laptopa, by zechciały w końcu działać razem,

natomiast my z Aśką udajemy się na zakupy, z długą (jak zawsze) listą życzeń. Chęci mamy szczerze, ale... jest jedno ale: w tym cholernym (choć zarazem tak przepięknym) kraju, podczas ich tzw. sjeisty, wszystko, dosłownie WSZYSTKO jest pozamykane. I na ulicach nie uświadczysz żywej duszy. I jak tu u diabła, w takich warunkach, spełnić kulinarne zachcianki? Napotkani przypadkiem tubylcy odpowiadają z rozbijającym uśmiechem, że sklepy to oni może otworzą... może o 16.00..... może o 17.00... a może - wcale. Nie ma co: fajna perspektywa. Ale muszę przyznać, że spacer w tym upale (czy to prawda, że mamy październik?), przez to ciche, puste sycylijskie miasteczko był wyjątkowo urokliwy. Miałam wrażenie, że czas zatrzymał się tu w miejscu... Szkoda, że gościmy tutaj tak krótko...

W końcu dojrzałyśmy jakiś markecik. Ku naszej rozpaczy i on okazał się być na cztery spusty zamknięty. Ale rozpacz nasza nie trwała długo, bo gospodarz (skądinąd baaardzo sympatyczny facet) otworzył nam drzwi i mogłyśmy spokojnie buszować wśród półek.

11 październik

Znowu pobudka o 5.00 rano (żeby nie zdarli z nas za kolejny dzień postoj). Poranny łyk kawy pomaga otworzyć oczy. Jeszcze trochę i chyba przyzwyczaję się do wstawania o tak zbójcekiej porze. Wiatru nie ma wcale, ale my oddajemy cumy i startujemy na silnikach. Kurs - na Sardinie.

Od wypłynięcia z St. Vito znikł nam zasięg komórkowy, ale jakoś nie narzekamy specjalnie. Mamy sailmaila! I możemy pisać maile ze środka morza! To taka radość, że szok!

13 październik

Mija 21 dzień rejsu. Hmm... Jest piątek 13-go.... O dacie przypomnieliśmy sobie będąc już daleko od brzegu, ale że nie jest to początek rejsu, tylko kolejny jego etap, więc płyniemy spokojnie. Z powodu braku prysznic w marinie (skandal!) zażyłyśmy z Gosią morskiej kąpieli niczym nimfy wodne (ku radości jakiegoś tubylca)... Nawet nie było tak zimno. Pewnie teraz coraz częściej będziemy kąpać się w taki właśnie sposób.

Zdechł nam wiatr. Jedziemy na katarynie, a żadna z nas tego nie lubi. Oho! Powiało! Więc nocka - na żaglach.

Kolejna noc. Kolejny dzień. Czas leci niesamowicie szybko. Ale wolę nie liczyć ile zostało do końca... Hmm... Czy jeszcze się boję? Czasami - jak cholera! Ale za diabła nie przyznam się do tego...

16 października

Wczoraj dorwała nas paskudna burza. Nie dość, że ze wszystkich stron błyskało i grzmiało, to jeszcze solidnie wiało: 6-7B (dzień dobry Neptunie, dawnośmy się nie widzieli, cholera! aż tak się stęskniłeś?!)

Dziś w końcu zjadłam coś ciepłego. Wczoraj to kompletnie nic przez gardło mi nie przełaziło, a jak już - to tylko po to, żeby wylądować za burtą. Koszmar!!! Podobno są tacy, którzy w ogóle nie chorują! Czy to możliwe?!

18 października

Dziś wielki dzień sprzątania i sprawdzania żagli (grocik trochę się nam przetarł). Ale jutro - wymieniamy śrubę na nową. Rewelacja! W końcu będziemy mogły pływać na silniku tak jak dziewczyny, a nie wlec się gdzieś z tyłu... Tylko czy naprawdę musimy wstawać o 6.00 rano?!

Aha. Zaprzyjaźniłyśmy się z jednym sympatycznym Niemcem, Egim. Niesamowity facet! (wiecie co mam na myśli)...

20 października

Jesteśmy na Ibizie! Jakoś szybko tu przyплыnęłyśmy (nowa, większa śruba, i proszę!) Standardowe podejście w nocy, cumy szpringi założone. Potem kolacja na jachcie, do tego wino i znów nastrój na to, by posiedzieć przy gitarce i pośpiewać. Czasami mam ogromną ochotę pozbyć się mojej gitary z rejsu. Rzadko na niej grywam, a muszę - dzielić z nią koję! Ale dziewczyny są innego zdania. Jestem w zdecydowanej mniejszości (3:1). Przechlapane i tyle.

24 października

Płyniemy do Almerimar. Dziś zrobiłam na obiad risotto. Nawet smaczne było (ponoć). Jesteśmy już drugą noc w morzu, ale niestety kompletnie nam nie wieje. Drałujemy na silniku.

25 października

Poznajemy Julka i Hanię. Zabierają nas na całodzienną wycieczkę do ogrodów Alhambry! Dzięki!!! To był cudowny, niezapomniany dzień, a my przez chwilę zapomnialiśmy, że niedługo znowu w drogę...

26 październik

W sumie to miało nas już tu (w Almerimar) nie być, ale jakoś wciąż nie możemy wypłynąć...

Dziś wczesnym rankiem (czyli tak w okolicach 11.00) obudził mnie głos Gosi: „Dziewczyny, wstawać!” (oj, kiedyś ją uprzedzę!)...Otworzyłam oczy i nie miałam absolutnie żadnej idei, co dalej. Pomyślałam więc o jakiej mocnej herbatce, co postawi mnie na nogi, kiedy Ania - zerkając znad porannej kawy – spytała niewinnie: „A może by tak śniadanko?” Śniadanie? - czemu nie, kanapki robi się szybko. Kanapki? Nie, to nie kanapki chodziły Ani po głowie. Przyoblekłszy twarz w promienny uśmiech wyszeptała: „Grzanki...” Grzanki?! Ni cholery nie miałam na nie ochoty! Ale, niech tam, czego nie zrobi się dla kapitana.

Dla osób niewtajemniczonych dodam może, że grzanki o których tu mowa, to tak zwane grzanki francuskie (choć ja znam je bardziej jako grzanki po studencku). Wykonanie ich jest banalnie proste. Potrzebny jest chleb (świeżego nie polecam, bo nasiąka olejem), jajka, mleko, olej, przyprawy (sól, pieprz, oregano, majeranek czy kto co tam z ziółek preferuje), trochę żółtego sera i pomidor pokrojony w plasterki. Bełtamy jajka z mlekiem i przyprawami, w międzyczasie podgrzewając olej na patelni (u nas trwa to przynajmniej kilka minut). Następnie do jajeczno-mleczno-przyprawowej masy wrzucamy chleb, tarzamy go tu trochę i przierzucamy na patelnię. Po chwili, nim zdąży się przypalić, zgrabnie obracamy go na drugą stronę, a na wierzch kładziemy żółty ser i plaster pomidora. Na koniec posypujemy jakąkolwiek dostępną zieleniną. Efekt? Widoczny już po kilku minutach... buzia szczerząca się w błogim uśmiechu z pytaniem: „A gdzie następne?” Dla takich momentów – warto gotować! Nawet na jachcie. Choć czasem... Czasem, gdy okazuje się, że np. na obiad można zrobić tylko mielonkę, znów tę samą nieśmiertelną mielonkę, to wówczas zamiast weny twórczej, na usta ciśnie się jedno tylko pytanie: „Kurde, a może by tak po pizzę zadzwonić?”

Ale to nie dziś. Dziś na naszych łódkach genius culinari w pełnym rozkwicie. Dziewczyny pobiegły właśnie załatwić opłaty postojowe w marinie. Marina w Almerimar jest spooora, więc zanim wrócą (myląc drogę z 5 razy) minie trochę czasu. Asia & ja wpadłyśmy więc na pomysł rewelacyjnego obiadu. Obiadu dwudaniowego! (w końcu musimy sobie jakoś dogadzać). Danie pierwsze: zupa cebulowa z grzankami i żółtym serem (made by Asia). Danie drugie: cukinia smażona w cieście naleśnikowym, do tego - micha sałatki z białej kapusty, pomidorów i cebuli, wymieszanych z sosem czosnkowym. Czyż apetyzm potraw nie sączy się już z samego ich brzmienia? Co prawda niewiele brakowało a pomysł cukini w cieście naleśnikowym ległby w gruzach, bo uprzytomniłam sobie, że ostatnie jajka (wysepione zresztą z drugiej łódki) zostały już zużyte - do grzanek po

studentku. Brak tak podstawowego surowca sprawił, że na horyzoncie pojawiła się już wizja... mielonki. Można było co prawda przejść się do tzw. „najbliższego” sklepu, ale akurat ta perspektywa... była ponad nasze siły. I pewnie o mielonkę obiad nasz byłby się oparł gdyby nagle – nie olśniło mnie! A od czegoż piękne oczy i czarujący uśmiech? Szybko wyłapałam jakiegoś faceta z jachtu naprzeciw i bez trudu dostałam od niego kilka jajek (teraz on będzie biegać do sklepu). Ufff!. Zupa gotowa. Jest po prostu pyszna (bo oczywiście nie mogliśmy się oprzeć i spróbowałyśmy od razu). Cała reszta po chwili również jest gotowa i wygląda – aż ślinka cieknie!

Tego samego dnia, wykorzystując piękne hiszpańskie słońce, wpadłam na idiotyczny pomysł prania. To znaczy sam pomysł nie był idiotyczny, tylko że jakoś tak słabo przypięłam polarek, że – utopiłam go. Buuu... To już mam mniej: spodenki, ręcznik i polar.... Jak tak dalej pójdzie to do domu wrócę z połową rzeczy (choć – z drugiej strony - to po cholere mi ubrania, skoro najczęściej i tak łązę bez niczego?)

1 listopada

Dziś Święto Zmarłych. Pierwszy raz spędzam je na morzu. Zapalamy świece i siadamy w ciszy i zadumie. Myślę o tych, których już nie ma wśród nas. I o Aniołach, które nad nami czuwają (oby czuwały nadal!!!)

Płyniemy w kierunku Gibraltaru. Mamy jeszcze jakieś 25Mm do celu. A to oznacza, że do portu znów będziemy wchodzić w nocy (czyli standard).

Środek nocy trochę oświetlonej gwiazdami. Nagle....delfiny na kursie! Wokół naszego kadłuba pływa całe ogromne ich stado. W życiu nie widziałam tylu delfinów naraz! Pływają, skaczą, chlapią niemiłosiernie (ale da się przeżyć). Towarzyszą nam bardzo-bardzo długo... Czyżby robiły nam pożegnanie z Europą?

Siedzę na dziobie. Niedaleko nas światła mantry „Asi”. Płyniemy burta w burtę... No i wpłynęliśmy - w rejon kotwicowiska dużych statków. I w rejon ich pływania. Statek z jednej strony, statek z drugiej. Na szczęście stoją. Ooo... jakiś płynie... rety! Płynie następny! Trzeba ciągle ich wypatrywać. Jest ich cała masa!!! I są wielkie, brrr... Czy one nas widzą?

Dopływamy do portu. Przy wejściu, według wskazówek podanych przez Andrzeja oraz wytycznych w locji, wołamy na ukf, że wpływamy. Jakiś gość kieruje nas na odprawę. Stajemy grzecznie longside. Dziewczyny idą z dokumentami. Wszystko gra i gość pozwala nam znaleźć sobie miejsce w marinie. No to szukamy, ale... tu nie ma mooringów, ani tam nie ma... Lipa! W końcu, po kilkakrotnym okrążeniu portu, ktoś kieruje nas w miejsce, gdzie mooringi są. Więc cumujemy. A tu po chwili przybiegają jacyś inni goście z pretensjami, że

nie meldowałyśmy się przez ukf... Jak to nie?! Co za bałagan! I tłumacz się teraz człowieku...
Zadawali mnóstwo pytań (standard: skąd? gdzie? po co?), ale w końcu dali nam spokój.

Hmm... minął ponad miesiąc na mantrze. Zdaje się, że tu miałam wysiadać i wracać do domu... Ale pływa się fajnie. Ania mnie nie wyrzuca (jeszcze)... to płynę dalej!! Przed nami przestworza Atlantyku!!!